ROK VI. CHICAGO, dnia 31-go MAJA 1888. No. 22



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 31 maja	Anieli de Merici.	Bożesława
Piątek, 1 czerwca	Jakuba i Nikodema.	Swiatopełka.
Sobota, 2 czerwca	Erazma męczennika.	Ratysław.
Niedziela, 3 czerwca	2ga po Ziel. Św. Klotyldy kr.	Braumiła.
Poniedziałek, 4 czerwca	Opata b. Saturniny p.	Litomił.
Wtorek, 5 czerwca	Florencyi panny.	Dobromił.
Sroda, 6 czerwca	Norberta op. wyz.	Cicomir.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ IIgą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Łukasza w rozdz. XIV. od w. 16 *do* 25.

W owym czasie mówił Jezus do Faryzeuszów tę powieść: Człowiek niektóry sprawił wieczerzę wielką i wezwał wielu. I posłał sługę swego w godzinę wieczerzy, aby powiedział zaproszonym, żeby przyśli, boć już wszystko gotowe. I poczęli się wszyscy spółecznie wymawiać. Pierwszy mu rzekł: Kupiłem wieś, i mam potrzebę wyjść i oglądać ją, proszę cię, miej mię za wymówionego. A drugi rzekł: Kupiłem pięć jarzm wołów, a idę ich doświadczać, proszę cię, miej mię za wymówionego. A inny rzekł: Żonę pojąłem, a przeto nie mogę przyjść. A wróciwszy się sługa, oznajmił to Panu swemu. Tedy gospodarz rozgniewawszy się, rzekł słudze swemu: Wynijdź rychło na ulice i uliczki miasta, a ubogie i ułomne i ślepe i chrome wprowadź tu. I rzekł sługa: Panie! stało się, jakoś rozkazał, lecz jeszcze dosyć jest miejsca. I rzekł Pan słudze. Wynijdź na drogi i dróżki, a przymuś wnijść, aby dom mój był napełnion. A powiadam wam, że żaden z tych mężów, którzy są zaproszeni, nie skosztuje wieczerzy mojej.

Leki na strachy śmiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

Kiedym to pisał o miłości Boga, właśnie przypadły moje imieniny. Krótko przed wieczorem poszedłem na cmentarz, aby tu trochę pomyśleć i podumać o tych moich imieninach. Był to cmentarz bardzo wielki, wiele było krzyżów i kamieni na grobach, a ja sam jeden żyjący byłem na tej wielkiej roli umarłych. Kiedy ciemny zmrok zapadł na ziemię, tak też jakieś zadumanie zapadło na moją duszę. Ach, pomyślałem sobie, ileż to było boleści i trwogi i jęków i potów śmiertelnych, zanim te wszystkie groby się napełniły! I gdyby można te wszystkie łzy zebrać, które wypłakano nad tysiącami umarłych przy ich śmierci i po ich śmierci, coby to było za wielkie, gorące, gorzkie, nieskończone, ponure jezioro — łez!

Powoli szedłem dalej i przyszedłem do grobu księdza. Stanąłem! ponura myśl przeleciała przezemnie i pomyślałem sobie, jak też on tam zdał rachunek za tylu, którzy jeszcze żyją i którzy już pomarli? Przyszedłem potem nad grób kasyera czyli rachmistrza. Być może, że on dobrze rachował w swoim urzędzie, ale któż zaręczy, że się nie przerachował we względzie swej duszy? Kto ma dobre dochody, znaczenie wygodne, majątek i lekkie życie cielesne, to bardzo łatwo pokocha za nadto życie cielesne, a dusza jego tylko się czołga jak robak po ziemi. Kiedy umiera, dusza jego jest naga i nędzna, jak te pare kości, które jeszcze z jego szkieletu w końcu zostają. I tej duszy to tam zapewne jest tak, jak temu robakowi, co go wyciągniesz z ziemi, a on nie może nazad się do niej dostać. A potem jeszcze ten sąd ze wszystkiego, co tylko na ziemi uczynił i nie uczynił.... Ach, mój Boże!....

I zdawało mi się, że to jest okropnie i zgroźnie być człowiekiem, umierać, odpowiadać przed Panem Bogiem i wieczny usłyszeć wyrok. Ale patrz, jak kiedy w ciemnej nocy

chmury się rozdzielają i między niemi z wysokiego nieba świecąca gwiazdka zabłyśnie, i jak w nocy Narodzenia się P. Jezusa pastuszkom piękny Anioł się pokazał i wesołą przynosi im nowinę; tak zaświeciło naraz jasno niebieskie światło przez te ciemne chmury, które duszę moją były zakryły. Była to myśl, że w kim miłość Boża stanowczo i silnie się obudzi i usadowi, ten ma życie w sobie, do którego śmierć żadnego nie ma prawa i mocy. Możeć i jemu jak i innym śmierć wydrzeć ciało, ale to go nie boli, bo dusza jego nie przylgnęła zbyt mocno do ciała, ale w Bogu się ugruntowała w życiu i śmierci. W starym Testamencie czytamy: „Miłość jest mocna jak śmierć," w nowym zaś: „Miłość jest mocniejsza aniżeli śmierć."

I sąd już dla takiego nie jest zbyt straszny; Zbawiciel Jezus mówi bowiem o takim człowieku: „Nie przyjdzie na sąd, ale ze śmierci przyjdzie do życia." Miłość jest twardym jak stal pancerzem przeciwko żądłu śmierci. Dla tego dusza miłująca nie lęka się śmierci, i śmiało patrzy jej w oczy. Jeźli miłość coraz więcej się rozpala w sercu, to tak mu się w końcu dzieje, jak temu podróżnemu, który daleko w obcych stronach się tułał. Tęskni za powrotem do domu i za drogiemi rodzicami. I kiedy w powrocie po uciążliwej podróży wreszcie wstąpi na ostatnią górę i widzi krzyż na wieży kościelnej, wtedy zapomina o trudach i o swej podróży i pęcherze na nogach przestają go boleć, bo jego serce bije gwałtownie z wielkiej, z niezmiernej radości. Ostatnią górą jest ostatnia choroba. Chociaż ta choroba dokucza mu niezmiernie, nie wiele zważa na nią, jak Szczepan św. nie zważał na kamienie, które Żydzi rzucali na niego, bo widział niebo otwarte nad sobą.

Toby już było bardzo ładnie i dobrze, pomyślisz sobie, ale to sztuka przyjść do takiego miłowania i do takiego życia, któreby człowieka zabezpieczyło przed śmiercią? — Kto wie? może i to znajdziemy. Zapewneś już był nieraz na nabożeństwie, które ksiądz odprawiał w dniu zadusznym. Na ewangelią (trzeba wstać na ewangelią, bo to są słowa P. Jezusa) ksiądz czyta lub śpiewa: „Jam jest zmartwychwstanie i

życie, kto wierzy we mnie, choćby i umarł, żyć będzie, a każdy co żyje i we mnie wierzy, na wieki nie umrze.“ Co to „nie umrze“ ma znaczyć, tom ci już tam wyżej nieco napomknął, ale ta ewangelia wyraźnie jeszcze powiada, że można znaleść takie miłowanie i życie u Jezusa Chrystusa. U Jezusa musisz tego szukać, on jedynie może zapalić ten niebieski ogień w sercu twojem. Proś go o to codziennie; o coś większego, o coś lepszego nie możesz już prosić, jak o miłość Boga, albo o ducha Chrystusowego, albo o Ducha Świętego; to wszystko zresztą jedno. Ale proś gorąco i wytrwale a z pewnością wyprosisz. Proś nie tylko zdaleka, ale przystąp bliżej do niego, aby rozgorzał twe zimne serce swojem sercem, od miłości gorejącem.

W innej ewangelii ś., którą czyta ksiądz za umarłych, mówi Pan Jezus: „Jam jest chleb żywy, który z nieba zstąpił: kto pożywa tego chleba, ten na wieki żyć będzie. Kto pożywa ciała mego i pije krew moją, ten ma żywot wieczny, a ja go wzbudzę w dniu ostatnim.“ Przystępuj często i należycie przygotowany do świętej Komunii, bo inaczej nie może wzrość żywa miłość w sercu twojem. Ci co kopią złoto, muszą najprzód z wierzchu powoli jednę warstwę ziemi po drugiej skopywać, i nie żałują pieniędzy i pracy. Tak też i ty, jeżeli złoto miłości Bożej chcesz znaleźć, musisz na odwrót z dołu do góry kopać, z serca ku Bogu, i nie musisz żałować czasu. Odwal ziemię i gruz przywiązania do światowości na bok,i staraj się zawsze twoje życie urządzić według przykazań Bożych,a z pewnością ujrzysz niedługo piękne niebo nad sobą.

Teraz przestań czytać, a rozważaj, coś przeczytał i co chcesz teraz robić. Może uważasz, że warto jest, aby coś takiego czynić. Myśl o owym skarbie w roli, i o owej perle, dla której kupiec ewangeliczny wszystko sprzedał. Co ci później napiszę, to będzie tylko wyłożeniem tego, com tu opowiedział o miłości ku Bogu. Ale teraz już przestań czytać dalej, może tobie samemu co więcej przyjdzie na myśl i do serca nad to, com ci tu napisał, a może ci też co stróż Anioł do ucha więcej powie. Toć możesz inną razą dalej czytać. C. d. n.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE.

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA CESARZA NAPOLEONA.

Ciąg dalszy.

O rzezi na Pradze, gdzie padło osiemnaście tysięcy polskiego Ludu.

Po przegranej pod Maciejowicami było jeszcze 30 tysięcy wojska polskiego, więc choć Kościuszko w niewoli, Naród jeszcze żyje, i trzeba się dobijać jego wolności. Ściągnęli też co najprędzej wszystkie siły pod Warszawę, a Suwarów nadchodził. Stanął ten Jenerał moskiewski w 40 tysięcy żołnierza pod wałami Pragi, a Praga przedzielona od Warszawy jeno mostem na Wiśle. Polacy zdążyli ściągnąć 10 tysięcy wojska i poczęli bronić Pragi co sił starczyło. Ale Moskwa zdobywa wał po wale, Polacy choć padają, to się biją mężnie. Ginie tu Jakób Jasiński, co to podniósł Insurekcyą w Wilnie, ginie wielu ze starszyzny wojskowej, więcej jeszcze żołnierzy i Ludu — nie masz ratunku, Polacy wyparci cofają się przez most, który dla obrony Warszawy podpalają za sobą. O wtedy sądny dzień się dla Pragi zaczyna, Suwarów rozpuszcza swoje dzikie wojsko i pozwala mu iść z mieczem i ogniem. Całe miasto stanęło w płomieniach, dym'e, i krwi — bo gdzież było uciekać? Z jednej strony most w ogniu, a z drugiej dziki Moskal z mieczem w ręku; tysiące ludzi rzuca się w głębokie wody Wisły, aby ujść okrucieństwa rozpasanego żołnierstwa, bo rznęli, kto się jeno nadwinął, starców, kobiety i dzieci — porywali nawet niemowlątka od piersi matek i nadziewali je na piki, albo o mury rozbijali ich niewinne ciałka. Trwały te mordy przez trzy dni, a zginęło 18 tysięcy ludzi, i z całego miasta nic nie pozostało, jeno kupa popiołów i gruzów. Brzegi kępy na środku Wisły okryte były trupami, a woda wspięła się na nich jakby na usypanej tamie.

Warszawa patrzyła na te wszystkie okropności, patrzyła na krwawy płomień, jak ogarniał całą Pragę, słyszała jęki konających, krzyk boleści i błagania mordowanych, dzikie

wycie i klątwy rozjuszonego żołdactwa, a Wisła krwią zczerwieniona niosła na swoich bystrych wodach tysiące siostr i braci pomordowanych. Opowiadają starcowie, że w Warszawie umierali wtedy ludzie jak w czasie powietrza, a każdy miał na dwoje serce rozpęknięte z wielkiej żałości. Po trzech dniach mordów i pożogi cichość grobowa rozciągnęła się nad Pragą, tylko jeszcze płomień wybuchnął raz po raz z niedopalonego zgliszcza, i dziki krzyk pijanego żołdactwa rozlegał się w powietrzu.

Suwarów wchodzi do Warszawy, koniec Insurekcyi.

Warszawa z ponurą boleścią oczekiwała swego przeznaczenia. Ale i najdzikszy człowiek krwią się przesycić może, tak i Suwarów przysyła do miasta, aby się z nim układało, i podaje warunki wcale nie twarde. Obstaje jeno, aby reszta polskiego wojska wyszła z Warszawy, a moskiewskie, aby na kwatery przyjęto, przyrzekając przytem, że nikomu włos z głowy niespadnie. Tymczasem Madaliński z Dąbrowskim przybiegli Warszawie na ratunek, ale widząc, że miasto gotowe się poddać, ustępują z niego. Suwarów wchodzi i spokojnie rozkłada swoje wojsko po kwaterach, król Poniatowski ochotnie go u siebie przyjmuje, i nie czuje zgrozy, choć jego ręce jeszcze nie wystygły po morderstwie Pragi. Weszli Moskale do Warszawy w tydzień po Wszystkich Ś. to jest 8. Listopada 1794. Po zajęciu stolicy zaraz też Naród zaczął na duchu upadać, wojsko zniszczone zimnem i niedostatkiem, co dzień niknęło, a Jenerałowie nie mieli już serca do wojny. Wojska nieprzyjacielskie w małych utarczkach siły polskie niszczyły, i tak połowa żołnierzy się rozeszła, a połowę wzięli w niewolą.

Jużeście to pewnie sami uważali, że jeden wielki grzech popełniamy naprzeciw Ojczyznie, bo niech nas nieszczęście spotka, niech się pośliźgnie, niech raz zbici będziemy, już ręce nam opadają i wszystko w niwecz się obraca. Kościuszko jeden, co nie popełnił takiego grzechu, bo choć niewygrał bitwy pod Szczekocinami, szedł bronić i obronił Warszawę, choć się Moskal, Austryak, i Prusak, krociami walił, szedł

się bić z nim Kościuszko. A po przegranej pod Maciejowicami żeby jeno był wyszedł cały, byłby nie ustawał, kto wie jakby się było skończyło. Ale nie było już kochanego Kościuszki, który poprzysiągł umrzeć, albo zwyciężyć i dotrzymał. A drudzy choć poprzysięgli, nie pamiętali jednak na słowa, co wyrzekli przed Bogiem, wszystkie siły jakie jeno jeszcze mieli, zmarnowali — rąbali i zakopywali armaty, broń psuli, albo po drodze rozrzucali, konie za pare groszy sprzedawali, a sami kryli się po rowach i lasach. — Ale nie miejmy do nich żalu, jeno zróbmy sami rachunek własnego sumienia, czyśmy od nich lepszymi? Czy wiedząc o tym grzechu, samiśmy się poprawili?

Nic też po skończonej Insurekcyi nie było w Polsce widać, jeno żołnierzy tułających się i kryjących, którzy niedawno jeszcze tak odważnie ucierali się z wrogiem; jeno nieprzyjaciół rozpościerających się i panoszących po wszystkich stronach — nic nie było słychać, tylko o poniewieraniu i biciu biednego Ludu, o więzieniu i zagrabieniu majątków panom. Wywieźli Moskale do Petersburga Ignacego Potockiego, Kilińskiego, Zakrzewskiego i zamknęli w tych samych podziemnych lochach, co Kościuszkę; Austryacy uwięzili księdza Kołłątaja, a Prusacy Madalińskiego i Dąbrowskiego, a każdy męczył po swojemu. Książęcia Józefa Poniatowskiego odwieźli stryjowi do Warszawy.

O trzecim rozbiorze Polski i o wyjeździe z Warszawy króla Poniatowskiego i jego nędznej śmierci.

Po skończonej Insurekcyi, trzej sąsiedzi Polski zaczęli zaraz układać trzeci jej rozbiór, bo tą razą i Austrya do grabieży się stawiła, a jakby po jakim nieboszczyku, dzielili się i innemi bogactwami naszej Ojczyzny. W Warszawie był wielki dom pełen od góry do dołu książek, bo jakie jeno na świecie były, Polacy zakupywali i tam składali. A były te książki własnością całego kraju, i każdemu, co jeno chciał, wolno było w nich czytać — te tysiące tysięcy książek zrabowała Moskwa i wywiozła do Petersburga; korony zaś królewskie, wszystkie drogie kamienie, i skarbiec wielkich ko-

sztowności, co był w Krakowie, zrabowali Prusacy i zawieźli do Berlina, a Austryą jak jeden tak drugi pieniędzmi spłacili. Potem carowa moskiewska pisała do króla Poniatowskiego, aby z Warszawy wyjechał, a zamieszkał w Grodnie, gdzie się to była Targowica rozsiadła. Bardzo markotno królowi było, bo w Warszawie miał jeden pałac, co go zowią Łazienki, a który to pałac zastawił pięknemi krzesłami i kanapami, zwierciadłami w złocistych ramach, porozwieszał drogie obrazy i kobierce, założył w około przecudowny ogród, więc tam lubił bardzo przebywać, i po wiele razy powiedział: że byle miał Łazienki, to o Polskę nie stoi. Aż tu oto rozkazuje carowa ten raj opuścić: król więc bierze się na różne sposoby, żeby jeno pozostać. I tak każe rozpowiadać po całej Warszawie, że skoro on wyjedzie, wyrzną miasto tak jak Pragę. Jak więc powozy po niego i jego dworskich pozajeżdżały, Lud się zbiega, płacze i lamentuje, zdejmuje koła, i konie gwałtem w stajni zamyka, a król powiada Moskalom, że go tak Warszawiacy kochają i wypuścić niechcą. Ale Moskale dłużej nie czekają, jeno na drugi dzień zamek otaczają wojskiem i w nocy, kiedy się nikt ani spodział, króla biorą jak swego i wywożą do Grodna. Nie byłać mu tam krzywda, bo nad Polską nie bolał, ale jadł smacznie, książki czytał, i z babami plotki bajał. Aleć mu tam pewnie sumienie nie raz dobrze dogryzało i jego niegodziwe zdrady stawały na myśli we śnie i na jawie.

Nie długo też, bo 26. Kwietnia 1795., a zatem w rok po podniesieniu Insurekcyi rozszarpali szczątek Polski. Austrya wzięła Kraków i kraj pod rzeki Pilicę, Wisłę, i Bug, było tego kraju 30 mil w dłuż i 30 w szerz.

Prusacy, miasto Warszawę i kraj, którego były granicami rzeki Bug i Niemen, a było kraju tego 30 mil w dłuż i 20 w szerz.

Moskwa miasto Wilno, Kurlandyą, resztę Litwy i Wołynia, a było tego kraju 70 mil w dłuż i 30 w szerz.

Nie zwoływali już sejmu, jeno król Poniatowski podpisał ten rozbiór. Mieszkał wciąż w Grodnie aż do śmierci Katarzyny carowej, która umarła w Listopadzie 1796. Ucie

szył się bardzo tej śmierci jej syn car Paweł, a z wielkiej radości przypomniało mu się i o Polakach, co ją tak nieraz utrapili bijąc jej wojsko. Kazał więc wszystkich z więzienia powypuszczać, a królowi Poniatowskiemu pozwolił w Petersburgu zamieszkać. Nie długo on tam pożył, bo w rok po swoim przyjeździe umarł. Powiadają ludzie, że na kilka miesięcy przed śmiercią brzydką chorobą był trapiony, bo z za skóry krociami wyłaziły mu wszy i gryzły go niemiłosiernie, a ledwie zmietli jedne, już drugie wyłaziły. Powiadają także, iż Moskalom było żal pieniędzy, co mu na życie dawali, więc go i struli. Co król Poniatowski miłował za życia, to mu się też dostało po śmierci, bo pochowany między Moskalami.

Może to Bóg na ostatek na to Polakom dał niegodziwego króla, żeby go pamiętali, a jak Polskę wybiją, to żeby sami w niej rządzili pod opiekę Boga i Matki jego Przenajświętszej Królowej polskiej.

Ciąg dalszy nastąpi.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Sty. Eutychian 275—283.

Po św. Feliksie obrano głową Kościoła w Czerwcu r. 275 Eutychiana. Narodził się w Luni, miasteczku, które dziś już nie istnieje. Ojciec jego nazywał się Marinus. Wkrótce po wstąpieniu Eutychiana na tron papieski umarł cesarz Aurelian a z jego śmiercią ustało krótkie ale gwałtowne prześladowanie chrześcian. Po jego śmierci senat obrał 75 letniego starca Tacyta cesarzem, który już po 6 miesiącach umarł po wojnie szczęśliwie prowadzonej przeciwko Alemanom. Cesarz ten swój niezmiernie wielki majątek zapisał państwu a krewnym zapomniawszy o ich dobrodziejstwie pozwolił żyć w niedostatkach. Po nim Probus został cesarzem. Cesarz ten musiał prowadzić wojny, przytłumiać powstania i bardzo był czynnym w utrzymywaniu rzymskiego

państwa, uwolnił Gallią od napadów Wandalów i wpadł do Niemiec aż nad Elbę. Gdy żołnierze nie byli zajęci wojną, używał ich do pożytecznych prac i przez podobne starania tego cesarza sadzono po raz pierwszy wino w Gallii i nad Renem. Surowość jednak, z jaką się obchodził z żołnierzami, była przyczyną jego śmierci; rozgniewani na niego zabili go w r. 283. Całe państwo ubolewało nad śmiercią tego cesarza. Podczas tego czasu i później nie było żadnego prześladowania chrześcian, ale tu i owdzie mianowicie w Rzymie kilku chrześcian mimo to na śmierć skazano.

W tym czasie pokoju zewnętrznego Kościół Katolicki wszędzie robił bardzo wielkie postępy. Euzebiusz o tem tak pisze: Któżby mógł opisać tę wielką liczbę ludzi, którzy się ku chrześciaństwu zwrócili, te liczne zgromadzenia w każdem mieście, to podpadające uczęszczanie do świątyń pańskich? W skutek tego stare budynki już nie wystarczały i we wszystkich miastach zaczęto budować wielkie obszerne kościoły. Tego postępu żadna zazdrość nie była w stanie powstrzymać, żaden zły duch okrzyczeć, dopóki ręka boża swego ludu strzegła. Ale gdyśmy wpadli w niedbalstwo i lenistwo, gdy jedni drugim zazdrościli i oczerniali i gdyśmy sami poczęli między sobą się kłócić, gdy przełożony z przełożonym się poróżnili a gmina z gminą, kara boża poczęła nas nawiedzać. Z tych słów Euzebiusza wynika, że ostatnie 25 lat trzeciego wieku były dla Kościoła Katolickiego czasem budowania kościołów. Ale pokazuje się, że owcześni ludzie mieli wszystkie słabości, które dzisiaj teraźniejsi ludzie mają; powstały nieporozumienia, które zawsze się pokażą, gdzie ludzie we wielkiej liczbie mieszkają.

Podczas kiedy Kościół na zewnątrz używał pokoju, powstała nowa kacerska nauka Manicheusza, która się długo utrzymała i w jedynastym wieku powtórnie powstała w Albigensach i Waldensach; nauka ta do dziś jeszcze ma swych zwolenników. Podania o osobie założyciela tej sekty, Manesa, i na czem nauka tej sekty się opierała, różnią się bardzo od siebie. Podajemy tu to podanie, które nam się zdawało być najprawdopodobniejszem. Manes, który się w r.

240 urodził w prowincyi babilońskiej był bardzo uczonym człowiekiem, bardzo dobrze mówił po grecku, był obeznany z matematyką, muzyką, z nauką leczenia, z malarstwem, astrologią i magią. Znał dobrze pismo św. Jeszcze bardzo będąc młodym został na kapłana wyświęconym. Gdy swoją heretycką naukę zaczął rozszerzać, został z kościoła wykluczonym. Król Persów Saphor, który w nim pokładał zaufanie, uważał go tylko za wielkiego filozofa. Ale gdy Manes około siebie uczni zgromadził i w imieniu Chrystusa zaczął walczyć z religią Zoroastra, której w Persyi się trzymano, postanowił król na śmierć go skazać. Ale Manes uciekł do Turkestanu, gdzie znalazł dużo zwolenników, wydał książkę, którą nazwał Ewangelią swoją. Tymczasem król Saphor umarł a jego syn Hormisdas po nim był królem. Manes powrócił do Persyi i dał nowemu królowi swoją książkę, z czego ten bardzo się ucieszył i otwarcie za Manesem się oświadczył. Ale Hormisdas tylko krótki czas panował, po nim nastąpił król inny a ten rozkazał, aby Manes wdał się w dysputę z magami t. j. kapłanami perskimi. Dysputa ta wypadła dla Manesa nie korzystnie, albowiem król skazał go na śmierć. O rodzaju jego śmierci także podania się różnią między sobą, albowiem wedle jednych miał być ukrzyżowanym, wedle drugich miano skórę z niego zdjąć.

Ciąg dalszy nastąpi.

Urocze oczy.

Dokończenie.

Marysia zahartowana w szkole cierpienia znosiła to wszystko z anielskiem poddaniem się karzącej ją prawicy i prosiła Boga, aby jak najprędzej ostatnia jej godzina wybiła. Wysłuchane były jej błagania i następne zdarzenie przyniosło smutny koniec jej męczarni. Właśnie wracała od grabienia siana, już się dobrze zmierzchło, szła szepcąc Anioł Pański na odgłos jęczącego dzwonu, wtem z pobliskiego błonia rozległ się tentent,to chłopak pędził stadninę.Piotrowa

zeszła z drogi i kryjąc swe oczy ręką, bo doprawdy zaczynała się sama lękać ich władzy, usiadła pod rozłożystą lipą, co opadal stała, nadbiegły w pląsach żwawe koniki, chłopak siedział na najpiękniejszym źrebcu i pogwizdując poganiał batem swe stadko. Na raz koń jego dostrzegł bielejącą się spódniczkę i sterczące na ramieniu Piotrowej grabie; przestraszony skoczył w bok, stanął dęba i zrzucił jeźdzca, który upadając o kamień przydróżny rozbił sobie głowę. Z głośnym płaczem przybiegła Piotrowa i swym fartuszkiem płynącą krew tamować zaczęła. Na jej krzyk zbiegli się ludzie, a ujrzawszy chłopca bez zmysłów i głowę jego zbroczoną w rękach uroczej Marysi: *czarownica!* zawołali z oburzeniem — *precz ztąd! czarownica! zabiła go! precz ztąd urocze oczy!* Popychana, zelżona, prawie obłąkana, zaledwie trafiła do chaty, tam ze ściśniętem sercem zrobiła zawiniątko swych rzeczy, zarzuciła je na plecy i myślała długo, w którąby się udać stronę. Serce ciągnęło ją do swoich, ale niestety! czyż trafi tak daleko i kto wie jak będzie przyjętą?... Myślała wzdychając, lecz nie płakała, bo i łez już nie stało; wreszcie przypomniała sobie, że o milę od wsi jest duży las, w którym często zbierając grzyby i jagody dla ekonoma (bo na jej nieszczęście państwo nigdy nie mieszkali w Sulejowie), zapoznała się z żoną mieszkającego tam smolarza. — Wiedziała, że ta kobieta obarczona dziećmi, potrzebuje kogo do pomocy. Podziękowała niebu za tę myśl, błagała Boga, aby oddalił już od niej kielich goryczy, i sprawił, iżby raczej oślepła, niżby jej oczy nieszczęście przynieść miały w nowej siedzibie. — Poczem wyszła z pospiechem, nie miała się z kim żegnać, nawet na mogile męża zapłakać nie mogła, bo Wisła była jego cmentarzem, wyrzekła więc tylko... Piotrze, drogi Piotrze! ciotko, moja matko! zlitujcie się, ubłagajcie Pana, aby mnie wkrótce z wami połączyć raczył!.... To rzekłszy, opuściła już Sulejów na zawsze.

IV.

Smolarz i jego żona przyjęli Piotrową chętnie, a dzieci ich pokochały ją od razu, bo im na początek podarowała swe złociste bursztyny, i *dobrą Piotrową* starsze, a *swoją Mary-*

sią młodsze ją nazwały. Mijały tygodnie, miesiące, odetchnęła nieszczęsna, bo zdało się, że jej oczy straciły już swój urok wraz z odmianą miejsca. Pracowała, ile jej sił stało, była pomocą w gospodarce i drugą matką dla siedmiorga dzieci węglarzy, a ci jej się odpłacali sercem, chlebem i czem mogli.... I już dawno Piotrowa nie pamiętała tak błogich dni! z jakiemże uczuciem dziękowała Ojcu wszystkich ludzi za tę pociechę. Tak upłynęły dwa lata, ona nie zajrzała do Sulejowa, nawet do innego kościoła chodziła, aby nie spotkać nienawistnych, w lesie kryła się w gęstwiny, gdy przypadkiem znajomą dziewczynkę na jagodach spotkała. Aż tu razu jednego, gdy zbierała gałęzie na opał, znagła usłyszała rozpaczne jęki i łkania, wychodzące z samego środka lasu. Idąc za popędem dobrego serca, niezrażonego złością ludzi, biegła tam, gdzie ją okrzyki boleści prowadziły, przedzierała się przez zarośla, krzaki, ręce jej pokłute rozrywały pnące się jeżyny, jęki coraz bliższe — wreszcie widzi kobietę, uciekającą z przerażeniem już prawie bez tchu. Mała dziewczynka u jej spódnicy ostatnich sił dobywa, by spieszyć za matką a za niemi tuż pędzi zajadła wilczyca z roziskrzonem okiem, z roztwartą paszczą, snać naszły jej legowisko; już wilczyca chwyta prawie ustającą dziecinę, jeszcze chwilka, już będzie po niej.... gdy prędsza jak myśl, Piotrowa, rzuciła się pomiędzy nich, i dziewczę sobą zasłania. Kobieta osłupiała, stanęła przerażona, a wilczyca ujęła nogę szlachetnej ich zbawczyni.... Piotrowa ciężko jęknęła i zemdlała z bólu. Na szczęście nadbiegł węglarz, jednem cięciem siekiery, powalił rozżartego zwierza, który w śmiertelnych drganiach silniej zacisnął w paszczy zdruzgotaną nogę nieszczęśliwej. Z trudnością wydobył ją poczciwy węglarz a porwawszy w swe zaczerniałe objęcia zemdloną — o mój Boże! to ona!.... wykrzyknął z rozpaczą....

Ah to ona! to urocza Marysia Piotrowa wtórowała ocalona kobieta i jej dzieci, to ona! wybawiła nas, a ja jej tak dokuczałam, tak ją lżyłam!.... Była to bowiem ta kobieta, której dziecię zasłabło niegdyś przy żniwie, a ta dziewczynka, tem właśnie była dziewczęciem: ta kobieta była największą

nieprzyjaciółką Piotrowej, ona najwięcej zniesławiła jej niewinne oczy. Węglarz zaniósł bezprzytomną do swej chaty. Zona, dzieci, z głośnym płaczem ratowały ją jak umiały: ocalone całowały zimne jej ręce, przepraszały, otworzyła wreszcie oczy Piotrowa.... poznała ich.... zrozumiała co mó wią, i słabym głosem szepnęła: ah! przynajmniej raz moje oczy ocaliły kogo!.... powiedzcie mi jeszcze czy ten chłopiec od stadniny.... żyje?....

— Żyje, zdrów zupełnie, odrzekła kobieta.

— Boże, dzięki Ci! szepnęła znów Piotrowa i na nowo zmysły straciła. Rana jej była okropna, rozżarta bowiem wilczyca, pół nogi prawie roztrzaskała. Nadaremnie owa kobieta wróciwszy do Sulejowa sprowadziła dla zranionej lekarza z pobliskiego miasteczka, codzień widocznie słabła, nikt jednak nie słyszał jej narzekania, owszem cieszyła się, widząc ulatujące życie, bo ufała miłosierdziu Boskiemu, że już tu odpokutowała za grzechy, i tam szczęśliwa połączy się z ukochanymi. Poprosiła o księdza, a przyjąwszy Sakramenta ŚŚ. od dawna po raz pierwszy się rozśmiała, wznosząc oczy ku Niebu.

Mieszkańcy Sulejowa dowiedziawszy się o całem zdarzeniu nie szczędzili ofiar na doktora i aptekę, a słysząc że lada dzień umrzeć musi, bo gangrena wdała się w nogę, a Marysia za słaba do zniesienia amputacyi, poszli prawie wszyscy do lasu, by ujrzeć ją raz jeszcze i nie lękając się już uroku przygasłych oczów, błagali ją o przebaczenie.

Marysia Piotrowa przyjmowała ich mile mówiąc, że oni niewinni, tylko Bóg chciał ją tak ukarać za jej przewinienia.

Gdy odeszli, rozdała wszystkie swe rzeczy dzieciom węglarza, prosząc, aby czasem Zdrowaśkę za duszę jej i Piotra zmówili, a uśmiechnąwszy się do nich, westchnęła raz jeszcze, na zakończenie cierpień ziemskich, i dusza jej uleciała do Boga.

Tak to nieszczęsne gusła i przesądy zabijają niejedno szlachetne uczucie. I tu po niewczasie żałowali Piotrowej, chociaż gdy żyła, nie mieli dla nieszczęsnej ani słówka pociechy, pomiędzy liczną gromadą nikt nie chciał być obrońcą

uciśnionej, nikt łzy jej nie otarł, nikt na wsi ręki pomocy jej nie podał. A co na to powiecie, gdy na zakończenie wyznam wam jeszcze, że na pogrzebie Marysi żony Piotra Traczyka znaleźli się tacy, co mówili: — Bądź co bądź, może kumo! lepiej się stało, że raz umarła, bo niech ta będzie jak chce, ale ona miała oczy urocze. — A jużcić prawda, mój kumie, a niech ta z Bogiem spoczywa!

SKĄPIEC I MAŁPA.

Był sobie pewien lichwiarz i skąpiec i sknera,
Taki zwykły pasożyt wśród bożego świata,
Co tylko dusi grosze, a zbiera i zbiera,
I za nie rodzonego gotów sprzedać brata.
Ba! nawet własną duszę i przyszłe zbawienie!
Zedrze wdowę, nędzarza odepchnie od proga,
Bo u niego mamona w tak wielkiej jest cenie,
Że dla niej zapomina wieczności i Boga.
Otoż lichwiarz ten mieszkał wysoko na strychu,
Żył jak pies, brnął po błocie, jaka była pora.
A wciąż tylko dukaty zgromadzał po cichu
I dokładał z rozkoszą do wielkiego wora.
Sam sobie pan i sługa, nie wpuszczał nikogo
Coby na jego skarby mógł choć rzucić okiem,
Jadł chleb suchy, pił wodę, lecz było mu błogo,
Skoro tylko się złota mógł cieszyć widokiem.
Lecz któż kiedy odgadnie, co dlań przyszłość kryje
Korzyść tylko godziwa przynosi nam praca;
A skąpiec zbiera grosze, djabeł wór mu szyje,
Bo zysk zły się na dobre nigdy nie obraca,
Tak i z naszego skąpca zrobiło się worem,
Raz, kiedy się nacieszył, widząc, że tak wzrasta,
Przypadkiem okno w izbie zostawił otworem,
I wyszedł za zarobkiem, jak zwykle do miasta.
Gdy on darł skórę z bliźnich bez żalu i strachu,
I już naprzód zwiększone obliczał dochody,
Małpa kataryniarza uciekłszy po dachu,
Przez okienko do izby weszła bez przeszkody.
I nuż hulać aż miło, co raz to coś ruszy,
Fika kozły po stole, drze papier na szmaty,
Gdy w tem nagle spostrzega cenę skąpca duszy,
Zgromadzone w woreczkach za łóżkiem dukaty.
Małpa figlarz szkodliwy do worka się bierze,

Szarpie na wszystkie strony, płótno gryzie srodze;
Robi się wielki otwór a swawolne zwierzę,
Rozsypuje duk[illegible] całej podłodze.
Swietny blask złotych monet jej głupi wzrok mamił,
Bawi się niemi chwilę, złoto dźwięczy, błyska,
A potem je porywa obiema łapami,
I stanąwszy w okienku, na ulicę ciska.
Zbiega się na ten widok gawiedź zysku chciwa,
Popycha się wzajemnie, z radości szaleje:
A małpa co raz nowe woreczki rozrywa,
I na głowy motłochu deszcz złocisty sieje.
Wtem z przeciwnego rogu nasz lichwiarz nadbiega.
Z początku nic zrozumiał, co to wszystko znaczy,
Lecz gdy nareszcie małpę w swem oknie spostrzega,
Biegnie przez tłum; drżąc cały z szalonej rozpaczy,
Otwiera zamek z trzaskiem, klnąc i krzycząc srodze,
W głowie strasznego gniewu huczało mu piekło.
Resztki już tylko złota znalazł na podłodze,
A psotne zwierzę sobie przez okno uciekło.
Wybiega na ulicę, wstrzymać się nie może,
Krzyczy, resztę dukatów wygrzebuje z błota.
A gawiedź się chichocze: krzycz sobie nieboże!
Nie zobaczysz już więcej zebranego złota.
Na ten śmiech nędzny skąpiec do reszty oszalał,
Rozbił sobie głowę o mur, że aż krew z niej ciekła,
Szarpał włosy garściami, po ziemi się walał,
Wzywając pomsty niebios i szatanów z piekła.
Aż jakiś człek poczciwy widząc taką mękę,
Podniósł go i litościwie wyprowadził z tłumu.
A potem mu przyjaźnie uścisnąwszy rękę,
Zaczął go cieszyć słowy pełnemi rozumu:
— Uspokój się biedaku! wstrzymaj narzekanie,
Rozkradzione twe złoto, już się nie odszuka;
Lecz za to, niech ci wiecznie w pamięci zostanie,
Ta zbawienna, choć drogo kupiona nauka:
„Źle czyni, kto jak małpa nie znająca złota,
Wciąż dla płochej uciechy rozrzucać je lubi,
Bo gdy niebaczną ręką ciska je do błota
Traci swój czas i mienie i bliźniego gubi.
Ale daleko gorzej taki jeszcze czyni,
Co dla zysku, sumienia głos w sobie zagłuszy,
I grosz krzywdą nabyty pakując do skrzyni,
Kupuje zań dla siebie zgubę własnej duszy.“